

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków

w Królestwie Polskiem.

9

Ciąg dalszy

— Jeśli Dymitrow będzie miał takie powodzenie, przeklnie razem ze mną tę wściekłą noc.

Bal i Kola zamienili spojrzenie i przed Kola przesunął się znów obraz bitej i skrepowanej Wandy. Rozdrażniony, nie patrząc nawet na wysoką stawkę, zawołał:

— Va banque!

— O, śmiało — szepnął naczelnik.

— Poznać syna generała — uśmiechnął się Jegorow.

Nastąpiła chwila milczenia, karty padały z głośnym trzaskiem, wreszcie Kola wygrał i zaczął ciągnąć bank. Gracze stawiali powściągliwie, a Bal, chcąc rozruszać grę, stawiał większe kwoty.

Kola wygrał z rzędu pięć razy.

— Gdybym był na waszem miejscu — rzekł naczelnik z kwaśnym uśmiechem — płakałbym gorzkimi łzami nad tem szczęściem.

— Prawda — dodał Jegorow — bo i co młodemu po szczęściu w kartach, gdy nieszczęśliwy w miłości... Ot, może teraz zdradza was wasza krasawica.

— Zdradza się starych tylko — odpowiedział Kola z gniewem.

— Jeśli nie zdradza — mówił Wasyl Wasyliwicz złośliwie, — to waszą nie będzie przy takim szczęściu.

— A może umrze — uśmiechnął się Jegorow.

Kola pobałdł. Słowa te wydały mu się przepowiednią, gdyż jak każdy zakochany stał się przesadnym. Spojrzał jak męczennik na Bala, a ten spokojny, uśmiechnięty, elegancki, zdawał się nie słyszeć rozmowy i właśnie wyjął zegarek, mowiąc:

— Za dwadzieścia pięć dziesiąt... trzymam dwadzieścia pięć rubli.

— Oddaję bank — rzekł Kola.

— Sprzykrzyło się wam szczęście — śmiał się Wasyl Wasyliwicz, tasując karty.

— Nie to, ale pić chcę.

— Racja! — zawołał Jegorow i pili.

Wasyl Wasyliwicz wygrał.

— Ot, wziął ja wasze szczęście — zwrócił się do Koli.

Bal przegrał trzy razy z rzędu zaglądając więc do pugilaresu odezwał się:

— Jeśli teraz nie wygram, będę musiał pójść po pieniądze.

— Któż wam pożyczy teraz — tłumaczył naczelnik — toż dziesiąta za dziesięć minut.

— Mam swoje w hotelu.

— Nu, to co innego.

Bal wstał od stołu, zawsze spokojny, tylko lekkie wypieki na twarzy i błyszczące oczy, zdradzały wzruszenie.

— O, tak was nie puścimy — zawołał naczelnik — musicie na ten czas dać piątego gracza.

— Piątego? Skądże go wezmę, chyba poszłę po pana Saleckiego — uśmiechnął się z przymusem.

— No, ten nie wstanie z łóżka, za dobrze mu jest — śmiał się Wasyl Wasyliwicz.

— A gdyby tak Martynowa! — rzekł naczelnik — on dobry do kompanii, ot szkoda, że na służbie.

— Hii, głupstwo! — zaśmiał się Jegorow — na odwachu poradzą sobie i bez niego. Napiszmy wezwanie, a w mig tu będzie.

Zadzwoniono na gospodarza, żądając papieru i pióra. Jegorow pisał, inni obstawiali stolik z flaszkami i naczelnik proponował „zbója“, mieszaninę portu w wódkę. Kola musiał pić, Bal ze względu, że idzie po pieniądze, został zwolniony. Wysłano wezwanie do Martynowa.

Na jasne czoło Koli wystąpiły kropelki potu, szklanka drżała mu w ręku i patrzył ogromnym niepokojem na Bala. Ten podszedł nieznacznie do niego i szepnął:

— Zimnej krwi... pij mało, ich spój...

— Postaram się... wiesz, za pięć minut.

— Spokój.

— Cóż wy tam szepczecie? — spytał naczelnik.

— Radzę mu, by szczęścia z rąk nie puszczał.

— Puste gadanie — wmieszał się Jegorow — chociażbyś trzymał rękami i nogami nie zdzierżysz. Ono jak kobieta: usiłujesz, ona się odwraca, a czekasz, to sama przyjdzie na twoją kwatere.

— Nu, z was rozumny człowiek — pochwalił Wasyl Wasyliwicz.

Drzwi otworzyły się szeroko i szybko wszedł ładny, szczupły brunet:

— Rozkaz sztabkapitana, jakże nie posłuchać — śmiał się — ale ja tylko na minutkę... służba.

— Napijcie się naszego — podsunął naczelnik „zbója“ — rozjaśni wam się świat.

— Nie, nie! — sprzeciwił się Jegorow — musi być porządek, najpierw wódka.

W pokoju przybocznym zegar wydzwonił chrapiwie dziesiątą.

— Bawcie się wesoło — kłaniał się Bal — a nie ograjcie Koli.

— Kiedyż wróćcie? — spytał naczelnik.

— Jak tylko wydostanę pieniądze... chyba, że mnie zaarrestuje strażnik — uśmiechnął się.

— No, niechby się ośmielił. W szejn je wo! — zawołał Wasyl Wasyliwicz śmiejąc się, a po chwili dodał poważniej: — powołaj się pan na mnie.

— Czyż może się to zdarzyć — spytał Kola.

— Nu, rozkaz jest aresztować nietutejszych, a Dymitrow służbista.

— Do widzenia panom!

— Do miłego!

Bal wyszedł z dusznego, przesyconego dymem i alkoholem pokoju i głęboko odetchnął chłodnym powietrzem.

Spojrzał na niebo, po którym snuły się gromady chmur, przysłaniając błyszczące gwiazdy. Na ulicach miasteczka ruch ustawał, tylko od czasu do czasu w świetle żółtawem latarni naftowych przesuwali się spóźnieni przechodnie.

Budynek kasy był po przeciwnej stronie miasta i trzeba było przejść przez rynek. Bal postanowił iść równym krokiem, ale niepokój był silniejszy od woli i stopniowo szedł coraz spieszej, dopiero widok ludzi przypatrujących mu się ciekawie, zmusił go do zwolnienia kroku. Nasłuchiwał gorączkowo strzału, gdyż w razie zmiany hasła posterunek przy kasie mógł strzelić do Marcelka. Lecz wokoło była cisza i czuł tylko silne bicie serca własnego i ostre, niemal bolesne pulsowanie w skroniach. Znów poniosła go niecierpliwość, biegł niemal, w tem posłyszał miarowy krok żołnierzy, przystanął na więc chwilę.

W migotliwym świetle latarni spostrzegł czterech żołnierzy idących w kierunku odwachu, odetchnął, to wracała zmiana posterunków. Szedł dalej i uszu jego doleciało przenikliwe:

— Pst.. Pst!

To towarzyszu, stojący na straży. Szybko podszedł do niego:

— Gdzie nasi?

— Obok kasy.

— Baczność towarzyszu, a gwizdnijcie w osteczności i cofnijcie się ku nam.

— Rozumiem.

Zwolnił kroku i szedł ostrożnie, unikając okęgów świecących latarni.

Był o jakie dwadzieścia kroków od budynku kasy, gdy ktoś zatrzymał go za rękę i szepnął:

— Cicho.

— Gdzie tamci? — nachylił się Bal do ucha towarzysza.

— Są tam... Marcelek...

Nastąpiła dla Bala chwila bardzo przykrego oczekiwania.

W ciszy nocnej odezwał się ostry głos:

— Kto idiot?

— Swój.

— Hasło?

— Plewna.

I zdawało się Balowi, że mija cała wieczność, krew rozsadała mu głowę, posłyszał szelest zdejmowania karabina, jakiś trzask żelaza.

— Warszawa!

Hasło nie było zmienione, ale zamiast radoznego spokoju, poczuł dziwną ociężałość i stopienie zmysłów. Oparł się o drzewo przyległe, starał się nasłuchiwać, lecz prócz niewyraźnych dźwięków nic nie chwycił jego ucho. Dopiero rozradowany głos żołnierza.

— Nu, pajdiom na stakańczyk — rozbudził energię Bala.

Teraz słyszał upieranie się drugiego posterun-

ku, który nie chciał iść z obawy kary, przekonywujące argumenta Marcelka, wreszcie trzy postacie zamajaczyły w świetle latarni, stojącej tuż przed furtką wejściową. I dwaj żołnierze z Marcelkiem w mundurze szli spiesźnie środkiem ulicy w kierunku rynku, rozmawiając wesoło:

Bal skierował się szybko ku kasie, ale zanim doszedł, posłyszał dźwięk tłuczonych szyb i błysk ślepej latarki.

Podszedł do okna kasowego w chwili, gdy pilniki z piskiem i zgrzytem cięły kraty, a wewnętrzna żelazna okiennica jęczała i stękała głośno pod naporem łomów. Robota paliła się im w ręku i tylko od czasu do czasu w przeblasku latarni widać było nateżenie mięśni żyłastych rąk, zaczerwienione twarze i połyskliwe krople potu. Pracowali w głuchem milczeniu, a Bal szepnął po chwili:

— Idę do straży.

Szedł ulicą w kierunku przeciwnym od rynku nasłuchując pilnie na każdy szmer, na każdy szelest. W domach okolicznych tylko tu i owdzie przez wyrżnięte serca okiennic przeblyskiwało światło. Czasem z piskiem otworzyły się jakieś drzwi, rozległy się jakieś odgłosy, to skrzyp drzewa, dzwonienie łańcucha studni, znów naszczekiwanie psów, odpowiadających sobie... Doszedł do zbiegu dwóch ulic, z których prawa prowadziła do koszar strażników. Wszystkie okna budynku straży były oświetlone, a przed bramą wejściową paliły się dwie latarnie. Bal patrząc na koszary posłyszał wewnętrzny głos:

— Niebezpieczeństwo tam!

Uczuł lekkie dotknięcie towarzysza na straży.

— Pilnujcie koszar — wskazał na budynek — gdy ujrzycie wychodzących, nie gwizdajcie... Czy umiecie naśladować rzenie konia, lub pisk puszczyka?

— Nie umiem... mogę krakać.

— Dobrze, zakraczcie i zaraz do nas, ale cicho, ostrożnie.

— Wiem.

Bal szedł teraz śmiało w kierunku karczmy, przy której opodał miał czekać Michał.

W pobliżu karczmy nie było nikogo i zaniepokojony napróżno wypatrywał; wtem doszło jego uszu dalekie parskanie koni. Poszedł w tym kierunku i w lasku, o jakie sto kroków od karczmy odszukał Wandę i Michała.

— Stoimy już pół godziny — skarżyła się Wanda — konie się niecierpliwią.

— Głupstwo... może godzinę, może dłużej poczekacie. A teraz uważajcie: jeśli posłyszycie trzykrotny gwizdek, jedźcie w miasto, staniecie przy kasie powiatowej, a jeśli posłyszycie strzały, zawróćcie towarzyszu konie, przeczekacie chwilę, aby dobiegli inni towarzysze i w konie, co wyskoczą!...

— Czy nie byłoby lepiej, ażeby ja została przy koniach sama? — odezwała się Wanda.

— A dasz sobie radę?

— Ja? Dziwne pytanie — mruknęła.

— Więc dobrze, przydacie się nam towarzyszu — a widząc go szukającego czegoś w bryczce, spytał — czego wam trzeba?

— Biorę postronki, mogą się przydać.

— Wandziu — mówił z lekkim rozculeniem w głosie — przy trzech gwizdkach jedź śmiało, ale przy strzałach nie czekaj zbyt długo, damy sobie radę.

— A ty? — spytała zaniepokojona.

— Ja wrócę cały, nie bój się... Ostrożnie, skręć w leśną drogę i czekaj... a gdyby ktoś nadjechał...

— Mam broń.

— Tylko nie strzelaj.

Zaświecił zapalną, było już trzy kwadransy na jedenastą. Szybko poszedł w kierunku kasy, pędzony obawą, że Młot mógłby się spóźnić z wyściem na spotkanie luzującej warty. Biegł niemal a dopadłszy okna kasy, spostrzegł Młota.

— Jeszcze tutaj? — zawołał gniewnie.

— Już idę — oddał pilnik Michałowi i wskazał górną poprzeczną kratę.

Bal dojrzał, że Jan i dwóch towarzyszy wśliznęło się już do pokoju i usiłovali otworzyć kasę.

— Nie puści — mruknął Jan — zakryjcie palcami wierzech, rozbiję dółtem.

Rozległy się miarowe uderzenia, lecz stal zamku nie puszczała, a przy silniejszym uderzeniu pękło dółto.

— Tandeta! — zawołał zgorzchniony Jan — dajcie inne, a wy podważajcie od zamku.

Zatrzeszczała kasa, lecz zamek trzymał.